

Komedia «niższa» Fredry czyli «Ciotunia»



WIDOWNIA niemrawo reagowała na „Ciotuni”, co trochę mnie dziwiło, gdyż sama bawiłam się doskonale. Podobno dzień przed tym było inaczej, przypuszczam więc, że zadecydował po prostu dobór widzów, oczywiście przypadkowy. W tym miejscu przypomina mi się anegdota, którą w swoich „Obrachunkach fredrowskich” przytacza Boy - Żeleński. Otóż, gdy we Lwowie grano „Pana Jowialskiego”, wśród rozbawionej i pękającej ze śmiechu publiczności siedział starszy pan, sam jeden, chmurny i oswiały. W końcu wstał i zadając na głos pytanie: z czego oni właściwie się śmieją? wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Można by więc usprawiedliwić zielonogórską publiczność, która owego wieczora zebrała się w Teatrze im. Leona Kruczkowskiego na przedstawieniu „Ciotuni”, tym bardziej, że „Ciotunia” to nie „Pan Jowialski”, gdyby sam Fredro, znów według Boya, nie zrelacjonował swej obecności na tej komedii zgola inaczej: byłem we Lwowie, gdy grano „Pana Jowialskiego”. Wzięliśmy we trzech łożę na drugim piętrze, lecz przedstawienie szło tak powoli i koślawo, aktorzy tak ról nie umieli, tak niegodziwie grali, że doznałem uczucia, jak by mi kto kiszki szkłem pilował i zdawało mi się, że publiczność to uczucie podziela. Nie mogąc dłużej wytrzymać, wśród drugiego aktu wyszedłem z łoża, drzwi zatrzasknąłem i uciekłem do domu...

Nie podobnego nie mogło by mieć miejsca podczas zielonogórskiego przedstawienia i chociaż „Ciotunia” mało jest podobna do innych komedii Fredry, to w każdym razie i reżyser i aktorzy dołożyli starań, by widz bawił się dobrze i wróżyć temu przedstawieniu duże powodzenie.

Fredrolodzy, nie zawsze zresztą zgodni byli co do tego, że „Ciotunia” to „niższa” komedia. Skoro się już zastanawiamy nad jej miejscem w twórczości Fredry, to war to może przypomnieć, że na przykład profesor Kucharski, mieszcząc się zresztą w swej ocenie wśród tych wszystkich, którzy Fredrę albo pomniejszali albo powiększali, jakby on sam nie był dość wielki, napisał, mając na myśli jedyną poważną, a nawet podobno trącą polityką sprawę w tej komedii, a mianowicie ów tajemniczy pojedynek Edmunda, iż w „Ciotuni” cenzura zniszczyła jedną z wielkich arcydzieł Fredry, tak, jak z jego dorobku komediopisarskiego wydarła niejedną z wielkich możliwości artystycznych. Otóż reżyser zielonogórskiego przedstawienia nie dał się zwieść owej sugestii, sprawa pojedyńku potraktowana jest marginalnie, a sama komedia jest tym, czym była w za mierzeniu, historią amorów starej panny, a przy tym, jak to zwykle u Fredry, okazją do naszkicowania a nawet zarysowania grubą kreską galerii portretów, jak choćby Szambelana. Zaczne od tej postaci, a więc od aktora, bo dość mi jakoś obrzydło powszechne przypisywanie reżyserowi w największej roli w przedstawieniu. Nie oznacza to oczywiście, że nie doceniam w

pełni pracy pani BARBARY K. RADECKIEJ, która poprowadziła sztukę niezwykle czysto i klarownie, powiedziałabym w prawdziwie fredrowskim stylu, tym bardziej zaś jest to cenne, iż jest to debiut młodej reżyserki. A więc brawo i życzę dalszych, równie zgodnych z intencjami autora sztuk.

Powracam do Szambelana, którego zagrał ZDZISŁAW GRUDZIEN, może nawet nie zagrał, po prostu był Szambelanem, jedną z owych typowo fredrowskich postaci, śmiesznych, może nawet bardzo śmiesznych, a jednocześnie i tchórzem podsztych i chytrych, których to cech i może jeszcze o wiele gorszych Fredro nigdy nie szedł owemu światkowi szlacheckiemu, który na pozór traktował żartobliwie, nie nie pragnąc w nim zmienić, ani naprawić. Mówi się potocznie, że Fredrę grać nie trudno, wątpię jednak, czy to prawda. Czas już tak bardzo oddalił nas od tego świata, który na przykład jeszcze za Boya miał swoich epigonów, że chyba jednak niełatwo być tak autentycznym Szambelanem jak Grudzień. Nie! wo, zwłaszcza aktorem młodszej generacji, tak pięknie mówić wiersz fredrowski, jak czynił to Grudzień. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, że kilka, no powiedzmy, kilkanaście lat temu, byłby również znakomitym Zdzisławem czy Edmundem, ale już sama ta myśl pogrąża mnie w smutku, że oto czas przemija tak szybko i właśnie Grudzień tak niedawno jeszcze młodzieńczy, dzisiaj grywa już szambelanów. Pocięcha w tym, iż czyni to znakomicie.

A więc można być we Fredrze rodem z niego i można się też uplasować trochę obok, jak uczyniła to ze swoją Małgorzatą KAZIMIERA STARZYCKA - KUBALSKA. Rysując Ciotunię krwisię, drapieźnie, odrobinię na pograniczu groteski czy też far sy, której elementy nie tylko się w tej sztuce Fredry podkreśla, ale i odczuwa, miała pani Kazimiera wydawała się jakby chwilami zapominać, że jest przecież szlachcianką, a to do czegoś zobowiązuje, nawet jeśli ma się tak wiele śmieszności i niemniej naiwności. Dlatego może była panna Małgorzata postacią, której się tak szybko nie zapomina, której rzeczywiście poświęca się najwięcej uwagi, gdybyż jeszcze posiadała trochę więcej owej fredrowskiej miękkości, powiedziałabym, poczucia przynależności do swego stanu! Wyraźnie jednak zaznaczał się i to właściwie konsekwentnie zupełnie inny, albo może odrobinię inny rodzaj owej postaci i mnie psuło to trochę obraz całej, bardzo autentycznej. Bo mieścili się w niej doskonale pozostali aktorzy, a więc przede wszystkim MAŁGORZATA MRELA, jako pikantna pseudowdówka Alina, a jednocześnie, jak to ktoś z obecnych na przedstawieniu zauważył, doskonała naiwna, postać tak już rzadka wśród różnego typu naszych amantek. Nie odmówię sobie przyjemności, by z okazji tej właśnie roli i jej wykonawcy ni nie zacytować raz jeszcze Boya, który recenzując „Śluby pańskie”, wystawione w Krakowie w 1919 roku tak napisał o Anieli: „rola tej amoureuse z polskiego dworku jest osobiście trudna do zagrania. Jest ona bowiem i wcieleniem woli bożej — zupełnie jak Alina (dop. mój) — ma w sobie wdzięk, marzenie i poezję, wreszcie jest to polskie cielátko, którego rasa rozpleśnia się później tak szczęśliwie”. Dziś te polskie cielátka zupełnie już wymarły i prędzej już spotkać Małgorzatę, niż Anielę czy Alinę, tę ostatnią zaś tylko na scenie. Odmienność w typie, ale taki przecież był zamysł autora, który zapewne znał i panienki nieco inne od owych cielatek polskich, pokazała nam swoją Florę HENRYKA BIELAWSKA - KAROW. Dużo wdzięku i przebiegłości, ale wszystkim to rodem z galicyjskiego dworku. Najładniej może z młodych mówił fredrowski wiersz JAN KAROW, czuł się też jako Zdzisław bardzo swobodnie. Tej swobody, nieprzemuszoności brak było natomiast trochę RO MANOWI TALARCZYKOWI — Edmundo wi, choć z przyjemnością stwierdzam, że aktor pracuje nad swoją dykcją i rezultaty widać nawet w komedii Fredry, gdzie jak mawiali fredrolodzy gra się przede wszystkim słowem. IRENEUSZ WYKURZ w niewielkiej roli służącego to przykład, jak z takiej roli można zrobić rolę, a w każdym razie zwrócić na siebie uwagę.

Mam nadzieję, że nawet tym wszystkim, którzy nie bawili się na „Ciotuni” tak dobrze jak ja, podobać się przynajmniej musiały piosenki, skomponowane przez JANĄ ZIELIŃSKIEGO a nade wszystko stylowa, pastelowa scenografia w tym także piękne kostiumy projektu IZABELLI KONARZEWSKIEJ. Warto więc obejrzeć „Ciotunię”? Bardzo warto!

IRENA KUBICKA